



Spotkanie w rocznicę śmierci

Koniec października przyniósł gwałtowne załamanie pogody. Trwające od dłuższego czasu opady deszczu przybrały na sile. Wielkie krople bębniły w szyby i parapety. Ulice zamieniły się w rwące potoki. Lodowaty wiatr hulał po okolicy, wymachując łysymi konarami pobliskich dębów. Tak paskudna pogoda, niejednego mogłaby wpędzić w depresyjny nastrój. Harry dotkliwie odczuł to na własnej skórze.

Nowy tydzień powitał bez entuzjazmu. Świadomość, że musi odstawić dotychczasowe życie na boczny tor i powrócić do Hogwartu napawała go smutkiem i żalem. Od samego rana czuł narastające napięcie. Podczas śniadania był małomówny.

— Kochanie, dzisiaj nie będę mogła pójść z wami na cmentarz — stwierdziła Ginny, smarując tost dżemem. — Barnabasz chce mnie wysłać na konferencję Międzynarodowej Konfederacji Czarodziejskiego Komitetu Quidditcha.

— Dzisiaj ogłoszą terminarz Mistrzostw? — zdziwił się Harry, a Ginny potwierdziła kiwnięciem głowy.

— Zejdzie mi pewnie do wieczora — dodała ze smutkiem.

— Nic nie szkodzi — odrzekł markotnie Harry, wpatrując się

w nawałnicę za oknem. — I tak zamierzałem iść sam na cmentarz. Prosto z Doliny Godryka polecę do Hogwartu.

— Myślałam, że dziś będziesz jeszcze nocować w domu — oznajmiła zawiedziona Ginny. — Przecież posadę masz objąć dopiero jutro.

— Ale obiecałem McGonagall, że będę na wieczery w Noc Duchów — odrzekł Harry, nieco rozdrażniony. — Jutro będę miał pierwsze lekcje.

— Tatusiu, chcę z tobą pojechać na cmentarz! — zaprotestowała mała Lily. — Rok temu nie byłam!

Harry westchnął. Zgodnie z wieloletnią tradycją rodzinną, zabierał dzieci i żonę na grób swoich rodziców w rocznicę ich śmierci. W ubiegłym roku towarzyszył mu tylko syn Albus. James był już wtedy na pierwszym roku w Hogwarcie, Lily wówczas chorowała, a Ginny musiała się nią zaopiekować.

— W tym roku nie możesz ze mną pojechać — powiedział stanowczo Harry, ale widząc łzy w oczach córki, szybko dodał nieco łagodniejszym tonem. — Ale w zamian za to odwiedzisz mnie z mamą w Hogwarcie. Jak tylko się tam urządzę.

Lily aż podskoczyła z radości. Pośpiesznie zjadła ostatni kawałek tostu i pędem pobiegła na górę („Muszę posłać sowę do Hugo! Nie uwierzy, że będę w Hogwarcie!”).

— Wiesz, że teraz się już od tego nie wykręcisz? — mruknęła wesoło Ginny, całując męża w policzek. — Nie da nam spokoju, dopóki nie zabierzemy jej do szkoły.

— Wiem, wiem — odrzekł Harry, uśmiechając się nieznacznie. — Upór odziedziczyła po mamusi.

Ginny prychnęła, udając oburzenie. Usiadła Harry’emu na kolanach, obejmując go za szyję. On położył dłoń na jej talii. Połączyli się we wzajemnym pocałunku. Po chwili dostrzegł łzy spływające po jej policzkach. Poczul potworne ukłucie żalu. Uświadomił sobie, że minie wiele czasu zanim ponownie będą mogli

być ze sobą tak blisko.

— Od lat nie rozstawaliśmy się na dłużej niż kilka dni — wyszeptała Ginny, wtulając się w jego ramiona. — Nie umiem się z tobą żegnać.

— Nie musisz, kochanie — wyszeptał Harry, wycierając dłonią jej policzki mokre od łez. — Będę codziennie zaglądał do was przy użyciu sieci Fiuu. Prawie nie zauważysz, że mnie nie ma.

Ginny nic nie odpowiedziała. Wtuleni w siebie siedzieli tak przez dłuższą chwilę. Ciszę przerywały jedynie krople deszczu bębniące w parapet.

Po przekazaniu swoich obowiązków służbowych Ronowi, Harry udał się do Departamentu Kontroli Nad Magicznymi Stworzeniami. Opowiedział o podejrzaniach Charliego, dotyczących nielegalnej hodowli i krzyżowania smoków. Amos Diggory obiecał osobiście zająć się tą sprawą. Koło południa Harry spotkał się także z Ministrem Magii, aby osobiście poinformować go o odkryciu, jakiego dokonał jego szwagier.

— Nie mam tu już nic do roboty — oznajmił markotnie, kiedy wrócił do swojego gabinetu. Ron siedział za biurkiem wertując stronicę Proroka Codziennego.

— Nie martw się, wszystkim się tutaj zajmę — oznajmił, głaszcząc plaketkę z napisem „SZEŃ”, którą dopiero co zabrał z biurka Harry’ego. Na jego twarzy gościł złośliwy uśmiešek.

— Tylko za bardzo nie wczuj się w rolę — odrzekł rozbawiony Harry, ściskając dłoń przyjaciela. — Zamierzam jeszcze tutaj wrócić.

Po opuszczeniu Ministerstwa Magii Harry aportował się w swoim domu. Przekąsił indyka, którego resztki znalazł w lodówce. Spakował swoje rzeczy w dawny szkolny kufer. Na szczycie płataniny książek, skarpetek, bielizny i szat położył mapę Hunctotów. Zszedł do kuchni po zdjęcie rodziców. Z salonu zabrał

żerdź, na której zwykle siedział Płomyk.

— Dobrze, że nie muszę tego wszystkiego transportować miotłą — pomyślał, chowając zdjęcie w kufrze. Otworzył połączenie Fiuu i odesłał swoje rzeczy do Hogwartu. Zszedł na dół. W komórce pod schodami udało mu się wygrzebać dawno nieużywaną miotłę. Wyszedł przed dom. Obrócił się na chwilę, by rzucić na niego ostatnie spojrzenie. Poczł narastającą tęsknotę i rozgoryczenie. Zasiadł na miotle i w ułamku sekundy wzbił się w powietrze. Nim się obejrzał, szybował wysoko nad ziemią. Pęd mroźnego powietrza zdmuchiwał mu włosy z czoła. Na całym ciele czuł lodowate krople deszczu. Spojrzał w dół i dostrzegł maleńkie domy i samochody majaczące w oddali. Z tej perspektywy Mould-on-the-Wold wyglądało zupełnie obco. Po godzinie spędzonej w powietrzu, zaczął w końcu obniżać lot. Kwadrans później jego nogi stanęły na rozmokłym wrzosowisku. Był na miejscu.

Słońce zaczynało ustępować miejsca Księżycowi. Momentalnie zrobiło się ciemno. Deszcz ustał, ale nadal hulał zimny wiatr. Harry był przemoknięty do suchej nitki. Jednym machnięciem różdżki osuszył swoje szaty. Rozejrzał się po okolicy. Nie było nikogo. Zszedł ostrożnie z mokrego wrzosowiska na udeptaną ścieżkę. Mroźny wiatr kąsał jego twarz. Po chwili marszu znalazł się na wąskiej, wyścielonej liśćmi ulicy. Po jej obu stronach rozciągał się rząd domków. W każdym paliły się światła. Idąc w ciszy, mijał zmarzniętych przechodniów, którzy przyglądali się mu z zainteresowaniem. Gdy dotarł do placu, zobaczył niknący w ciemnościach pomnik wojenny. Wokół było kilka sklepów, poczta, pub i mały kościół. Teraz ledwie widoczne w gęstniejącym mroku. Harry ruszył w kierunku kościoła. Kiedy przeszedł przez plac, obelisk zamienił się w rzeźbę przedstawiającą jego rodziców, z niemowlęciem na ręku. Rzucił na nią krótkie spojrzenie i kroczył dalej. Po chwili znalazł się na cmentarzu. Mijał

kolejne nagrobki spowite w ciemnościach.

— *Lumos!* — mruknął, wyciągając przed siebie różdżkę, by oświetlać sobie drogę.

Po dłuższej chwili dotarł na miejsce. Jego oczom ukazał się nagrobek z białego marmuru. Widniały na nim daty narodzin i śmierci jego rodziców. Wpatrywał się przez chwilę w lśniące napisy. Milczał. Przez jego głowę przelatywały obrazy z przeszłości. Nieliczne wspomnienia dotyczące rodziców. Widział matkę machającą do niego ze zwierciadła *Ain Eingarp*... Zobaczył widmo ojca, które wyłoniło się z różdżki *Voldemorta* podczas *Priori Incantatem*... Przypomnił sobie roześmianą twarz nastoletniego *Jamesa* ze wspomnień *Severusa Snape'a*. Spacerujący z przyjaciółmi, pogrążony w wesolej rozmowie. Nastoletnia *Lily* stojąca w obronie swojego przyjaciela... Pomyślał o chwili, gdy po raz ostatni zobaczył rodziców. Towarzyszyli mu w wędrówce ku przeznaczeniu. Mniej materialni od żywych ciał, ale bardziej materialni od duchów. Ich roześmiane twarze wyrażały głęboką miłość.

Nim zdołał się opanować, z jego oczu popłynęły łzy. Z trudem nabrał powietrza do płuc opanowując rozpacz, jaka w tej chwili ogarnęła jego serce. Pomimo upływu lat, wciąż na nowo przeżywał śmierć rodziców. Wielokrotnie odwiedzał ich grób, jednak zawsze towarzyszył mu ktoś, przed kim nie chciał okazać wzruszenia. Teraz był zupełnie sam. Cmentarz był pusty. Wreszcie mógł przestać udawać. Dłuższą chwilę zajęło mu dojście do siebie. Kiedy wytarł twarz mokrą od łez, jego oczy ponownie zwróciły się ku marmurowej tablicy. Wyciągnął różdżkę chcąc wyczarować znicz i zamarł. Dostrzegł coś dziwnego. Pod tablicą leżała biała róża. Zaskoczony podniósł kwiat, gorączkowo rozmyślając, kto też mógł go zostawić. Nagle tuż obok niego przeleciała wiązka zielonego światła, uderzając w pobliski nagrobek i roztrzaskując go w drobny mak. Instynktownie obrócił się

do tyłu wyciągając przed siebie różdżkę. Był gotowy do ataku. W oddali stała wysoka, zakapturzona postać. Nie widział jej twarzy, ale sądząc po solidnej budowie był to mężczyzna.

— Kim jesteś?! — zawołał natychmiast, celując różdżką w przybysza. — Czego chcesz?!

Zamiast odpowiedzi, w kierunku Harry'ego poleciała kolejna klątwa, która o cal minęła jego głowę. Błyskawicznie kucnął, chowając się za pobliskim nagrobkiem.

— *DREȚWOTA!* — zawołał, kierując różdżkę w zakapturzonego czarodzieja. Zaklęcie chybiło, rozbijając kolejną marmurową tablicę.

— Żalosne! — zawołał z pogardą przybysz głosem, który wydał się Harry'emu dziwnie znajomy. — Nawet będąc szefem aurorów, używasz zaklęć godnych uczniaka!

— *KIM JESTEŚ?!* — ryknął Harry, rzucając zaklęcie *Levicorpus*.

— Tylko na tyle cię stać, Potter?! — zarechotał mężczyzna, robiąc unik. — *CRUCIO!*

Klątwa z impetem walnęła w tablicę, za którą ukrył się Harry. Nagrobek rozleciał się w drobny mak. Cmentarz wypełnił tępy rechot zakapturzonego mężczyzny. Harry poczuł narastającą wściekłość. Przystąpił do ataku. Rzucał zaklęcia jedno po drugim. Przeciwnik był jednak dostatecznie szybki i nie pozostawał mu dłużny. Dłuższą chwilę trwała intensywna wymiana zaklęć. Uskakując przed klątwami, Harry potknął się o fragment marmurowej tablicy i upadł na rozmokłą trawę.

— *CRUCIO!* — wrzasnął przybysz, wykorzystując okazję, a klątwa uderzyła w Harry'ego z impetem. Poczł przeraźliwy ból, który nim owładnął. Wypełniał wszystkie mięśnie, każdy nerw, całe jego ciało. Zakapturzony mężczyzna zarechotał zbliżając się do Harry'ego. Miał opuszczoną różdżkę. Widząc wijącego się z bólu przeciwnika, przestał być czujny. Harry spodziewał się te-

go. Skupił się. Zacisnął zęby. Wijąc się z bólu, wycelował różdżkę w przeciwnika.

— *PETRIFICUS TOTALUS!*

Zakęcie uderzyło we wroga, który zupełnie się tego nie spodziewał. Czarodziej upuścił różdżkę. Jego ciało zeszywniało. Opadł na ziemię, jak kłoda, objając się o resztki roztrzaskanych tablic. Harry czuł, że słabnie moc klątwy Cruciatu. Po chwili przestał się więc z bólu i odzyskał władzę nad swoim ciałem. Błyskawicznie podniósł się z mokrej trawy. Wycelował różdżkę w przeciwnika i ostrożnie zbliżył się do niego. Odepchnął nogą jego różdżkę i przystanął oddychając ciężko.

— Użycie zakęć niewybaczalnych karane jest dożywociem w Azkabanie — oznajmił ostrym tonem. — Mam nadzieję, że lubisz ciasne pomieszczenia.

Machnął różdżką i zdjął z przeciwnika zakęcie. Ten zaczął pośpiesznie oddychać. Podniósł się z ziemi. Z jego głowy osunął się kaptur. Nie usiłował go nawet nałożyć. Jego twarz wykrzywił złośliwy uśmiezek. Spod blond czupryny lypały na Harry'ego groźnie brązowe oczy. Natychmiast rozpoznał śmierciożercę, Thorfina Rowle'a.

— Widzę, że wieści o twojej śmierci są nieco przesadzone — wycedził, spoglądając na niego z pogardą. — Mówiono mi, że zginąłeś w czasie drugiej bitwy o Hogwart.

Rowle zarechotał złośliwie.

— Jak widzisz, żyję i mam się świetnie, Potter — odrzekł śmierciożerca.

— Widzę — odpowiedział Harry, robiąc krok do przodu. — Czego ode mnie chcesz?

— To chyba oczywiste — stwierdził z rozbawieniem Rowle. — Chcę cię zabić.

Harry zacisnął dłoń na różdżce.

— Wielu już próbowało i jakoś nadal żyję — odrzekł chłodno.

— Nawet Voldemortowi się nie udało. Sądzisz, że ty sam dasz mi radę?

— Nie jestem sam — odpowiedział z satysfakcją Rowle. — Nie masz pojęcia na czyje zlecenie działam, Potter.

— Zlecenie? — powtórzył chłodno Harry. — Chcesz powiedzieć, że masz nowego szefa? — zapytał zaintrygowany. Rowle natychmiast spoważniał.

— Niczego takiego nie powiedziałem — stwierdził stanowczo — Nic ci nie powiem.

Teraz Harry zaśmiał się złośliwie. Wyciągnął z kieszeni fiolkę. Był w niej przezroczysty płyn.

— Myślę, że Veritaserum rozwiąże ci nieco język — odrzekł, potrząsając fiolką. Rowle pobladł na twarzy. Nie był już taki pewny siebie.

— Nic nie rozumiesz, Potter! — wycedził przez zaciśnięte zęby. — Niczego się ode mnie nie dowiesz! Ci, dla których pracuję, zadbali o to.

— A dla kogo pracujesz? — dopytywał Harry. — To nie jest jedna osoba, tylko jakaś grupa?

— Niczego się ode mnie nie dowiesz! — ryknął śmierciożerca, desperacko rzucając się w kierunku swojej różdżki. Harry był jednak czujny. Szybkim ruchem różdżki unieruchomił przeciwnika. Rowle milczał. Wyglądał jakby bał się otworzyć usta. Harry zrozumiał, że po dobroci niczego nie powie. Machnął różdżką. Ciało śmierciożercy oplotły grube korzenie, wyrastające z trawy, na której stał. Śmierciożerca zaczął wrzeszczeć i krzyczeć. Wyrywał się nerwowo. Harry podszedł do niego. Otworzył mu siłą usta i wlał kilka kropel eliksiru. Rowle próbował go wypłuć, krztusząc się. Po chwili jego wrzaski jednak ustały. Wyglądał na otępialego.

— Jestem już trochę spóźniony, więc przejdźmy do rzeczy — oznajmił Harry, opuszczając różdżkę. — Z czyjego polecenia

miałeś mnie zabić?

Rowle krztusił się. Kasłał. Bulgotał. Za wszelką cenę starał się nie powiedzieć ani słowa. Veritaserum rozeszło się jednak po jego ciele. Elixir zaczął działać.

— Kto kazał ci mnie zabić?! — powtórzył ze zniecierpliwieniem Harry.

— Rada Starszych...

Harry miał zadać kolejne pytanie, jednak Rowle nagle zniechęcił się. Na jego szyi pojawił się ognisty wąż. Zaciął mu dopływ powietrza do płuc. Kiedy ogień zgasł i wąż przybrał formę wypalonego na skórze znaku, głowa Rowle'a opadła bezwiednie. Śmierciożerca rozdziawił usta. Jego oczy były puste. Twarz pozbawiona wyrazu. Nie oddychał.

— Przysięga Wieczysta! — warknął ze wściekłością Harry. — Złożył Przysięgę!

Machnął różdżką i korzenie oplatające ciało śmierciożercy schowały się ponownie pod ziemię. Zwłoki upadły bezwiednie na trawę. Harry podszedł bliżej, aby im się przyjrzeć. Wyciągnął dłoń w kierunku twarzy Rowle'a. Zanim zdołał jej jednak dotknąć, całe ciało śmierciożercy momentalnie zamieniło się w popiół. Zdumiony auror głośno przeklął. Nagły powiew wiatru uniósł prochy w powietrze i rozniósł po całym cmentarzu. Harry śledził je przez chwilę spojrzeniem, po czym obrócił się w kierunku kościoła. Dopiero teraz dostrzegł, że w oddali stoi kolejna zakapturzona postać. Była niższa od Rowle'a i drobniejszej budowy. Przyglądała mu się w milczeniu. Ani drgnęła. Harry doszedł do wniosku, że musiała tu być od samego początku.

— Kim jesteś?! — warknął, pospiesznie wyciągając różdżkę przed siebie. — Kim jest Rada Starszych?!

Zakapturzona postać nic nie odpowiedziała. Harry już miał rzucić zaklęcie obezwładniające, ale rozległ się trzask — jakby łamanej gałązki — i postać zniknęła.